Nr. 45. We Lwowie dnia 8. listopada 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

(Ciąg dalszy).

Aleksander odłożył niektóre z cenniejszych przedmiotów: łyżki srebrne, futro, szal i zamknął kufer. Suknię jedwabną podarował gospodyni.

— Byłaś dla niej dobra — powiedział.

Przy tej okazji Jakutka wyprosiła sobie jeszcze kilka drobiazgów.

Skończyły się wreszcie targ i umowy. Jakuci uderzyli w dłonie na znak zgody i rozeszli się. Gospodarze położyli się spać. Aleksander został sam i jął odziewać do ostatniego snu swoją Julję. Starannie umył ją całą, białą i zimną, jak marmur, ubrał w najlepsze, jakie znalazł rzeczy, fałdy i draperje starał się ułożyć wdzięcznie i pięknie, jak niegdyś... Nie mógł przywyknąć do tej myśli, że ona już nie czuje i nie rozumie... Łzami nabiegały mu oczy, gdy układał i prostował skostniałe jej członki — gotów był ryknąć płaczem i nad zimnem jej ciałem chylił się nisko, jak drzewo pod burzy podmuchem.

Minęła noc. O świcie przyszli Jakuci-majstrowie; ciało przenieśli na ławę w przedni kąt izby — i w ścianie nad niem przebili dziurę, aby wpuścić strugę zimnego powietrza. Twarz umarłej pod lodowatem jego tchnieniem stała się natychmiast, jak alabaster twardą i przeźroczystą. Następnie Jakuci zabili byczka i, wesoło gwarząc, poczęli gotować mięso, ciosać deski i robić trumnę.

Aleksander obojętnie przyglądał się ruchowi. Nic go nie zajmowało, nawet Zosia; ubrał i nakarmił dzieweczkę, ale nie przemówił do niej ani słowa. Dziecina błąkała się z kąta w kąt wpośród Jakutów. Ci jedli, powtarzali najnowsze plotki sąsiedzkie, naradzali się, jak zbić deski, by trupa pomieścić, a sobie pracy oszczędzić, stukali narzędziami, sapali i pluli.

Wieczorem, gdy Aleksander położył się na tej samej ławie, na której umarła Julja, Zosia przysunęła się do niego.

— Tatusiu, ty już nie płaczesz? — zapytała.

— Chodź tutaj.

Dziewczynka wdrapała się pospiesznie obok niego.

— Mama elbiut'... — rzekła po jakucku.

— Mama umarła — poprawił ją. — Teraz nie masz już nikogo prócz ojca.

— Wszyscy Jakuci?...

— Są i towarzysze ojca, ludzie bardzo dobrzy, ale daleko... Między Jakutami także znajdują się dobrzy... Chcesz kochać ojca!...

Dziewczynka pochyliła główkę i z zajęciem zaczęła przyglądać się guzikowi u jego bluzy.

— Chcę! — szepnęła po chwili.

W ten sposób znowu zawiązała się przyjaźń między nimi.

Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz. Wskutek zasp, utworzonych przez zamieć, nie można było trumny powieźć na saniach. Jakuci zawiesili ją na długiej żerdzi na sznurach i ponieśli na ramionach. Miejscami śnieg był po kolana, potykali się i przerzucali drąg z ramienia na ramię. Trumna kołysała się strasznie. Aleksander, idąc za nią z łopatami, słyszał jak ciało umarłej tłukło się w jej wnętrzu. Nareszcie dobrnęli do wzgórka pod lasem, gdzie było cmentarzysko: trochę drewnianych płyt i krzyży grobowych pod śniegiem, a na uboczu wązki, głęboki, świeżo wykopany dół... Ostrożnie, pokrzykując i udzielając sobie rad, zaczęli Jakuci spuszczać trumnę. Aleksander chciał ją otworzyć — by raz jeszcze zobaczyć twarz zmarłej, ale Jakuci oparli się temu stanowczo.

— Co chcesz z nami zrobić, cudzoziemcze?... Przecie i my mamy żony i dzieci!... Nikt nie sprowadza na siebie nagłego nieszczęścia!... Otwieraj sobie, jeżeli chcesz, ale my odejdziemy... Nie wypuszcza się tego, co już raz zamknięte... Sam trumny do dołu nie spuścisz, więc zostanie do wiosny!...

Był pewien, że spełnią pogróżkę.

Spuścili ją w dół i spiesznie zaczęli zasypywać bryłami zamarzłej ziemi, które z głuchym łoskotem rozbijały się o wieko trumny.

— Ostrożnie!.. — krzyknął mimowoli Aleksander. Wydało mu się, że przebiją deskę i ostrymi kawałkami lodu ugodzą w twarz i ciało Julji.

— Uspokój się, cudzoziemcze!... Ludzie przecie jesteśmy... w Boga wierzymy... Przykryliśmy balami, jak się należy... Spać będzie twa nieboszczka niby w kołysce...

Zręcznemi i zgodnemi uderzeniami szybko zasypali dół, i zwrócili się do Aleksandra, który stał, jak odurzony.

— Cudzoziemcze... panie... chodź!... idziemy... spiesz się... Grzech!... nie oglądaj się nazad!... — krzyczeli, spuszczając się ze wzgórza i w biegu łamiąc łopaty. Aleksander postąpił kilka kroków za nimi, lecz nagle wstrzymał się i zawrócił..

Słońce podniosło się jaskrawe, promienne. W chwili, gdy odrywało się od horyzontu, z obu stron ukazały się dwa tęczowe jego widma. W powietrzu unosił się delikatny pył lodowatych igiełek — pozostałość wczorajszej zamieci. Żałobnie wyglądały lasy czarne, przez wiatr obdrapane. Śniegi dokoła były zdeptane. Na płaszczyźnie jezior i łąk wiatr wydął fale zmarszczek, podobnych do wzburzonych wód. — Na stokach wzgórków, wpośród krzewów, u przeszkód, które zmieniły kierunek wichury, piętrzyły się ogromne wydmy i zawały. Miejscami rozcinały je wązkie, niby pługiem rozryte wydmuchy. Ich wierzchy i krawędzie dymiły się zlekka: tam pełzał konający wietrzyk i zdmuchiwał puder z niedość ubitych śniegów.

Na podwórzu, przy jurcie, przekroczywszy przez ogień, zgromadzili się Jakuci i ostrożnie, z poza dymu spoglądali z trwogą na czarny punkt, widniejący daleko na wzgórku.

II.

Wiele mil przejechali podróżni głuchym, ciemnym borem, nim rozstąpiły się zwarte szeregi drzew, zmrok pobladł i obciążający konary puch śnieżny, stał się bardziej przejrzystym. Drożyna wyrównała się i wybiegła na obszerną łąkę, gdzie ostatnie cienie boru, wydłużone i rozjaśnione, kładły się na śniegi iskrzące w promieniach zachodu. Jasne blaski daleko za tajgą gasnącego słońca biegły w te tropy za podróżnymi, przedzierały się przez las, przez splątaną sieć gałęzi, po tajemniczych, okiem nie dających się dostrzedz drogach, złocąc w przelocie czarne kolumny drzew.

Koń Aleksandra niecierpliwił się, wyrzucał głową, wstrząsał trendzlą, ale naprzód nie puszczały go sanie z kibitką, obitą wojłokiem, które ciągnął gruby byk. Na byku siedział zgarbiony Jakut w bufiastej sukmanie i nucił piosenkę. Obaj nie spieszyli się wcale. Aleksander w zamyśleniu patrzał przed siebie, koniowi popuściwszy cugle. Lecz gdy wyjechali z zarośli i ukazała się boczna drożyna, wiodąca na przełaj do małego domku pod gajem, Aleksander zręcznie wyminął Jakuta i po głębokim śniegu kłusem pojechał w tę stronę. Jego wierzchowiec powitał dom kilkakrotnem rżeniem. Na podwórze z radośnem skowyczeniem wyskoczył duży, czarny pies.

— Ajaks!.. dobry pies!... Poznał pana! — gadał do niego Aleksander, zsiadając z konia. Pies skoczył mu na piersi i próbował liznąć go po twarzy. Jednocześnie we drzwiach jurty ukazał się niewysoki, brodaty mężczyzna w ogromnej futrzanej czapce, futrzanem obuwiu i reniferowej burce, niedbale na ramiona narzuconej. Chwilę wpatrywał się w przybyłego, nim go poznał, poprawił okulary i podszedł żwawo z wyciągniętą ręką. Aleksander tę rękę w milczeniu uścisnął i dalej zdejmował juki i siodło.

— Czy pomódz? — spytał go towarzysz, trzymając się zdala od konia, który szczerzył zęby i groził ukąszeniem.

— Lepiej nie, Jakóbie. Wrony złościć się zacznie.

— Droga ciężka: schudł Wrony. Cóż żona?

— Żony niema - umarła... — cicho wyrzekł Aleksander.

— Umarła!... — powtórzył Jakób, cofając się mimowoli.

Aleksander głowę spuścił i drżącemi rękami, odpinał dalej popręgi.

— Umarła.. — powtarzał Jakób.

Sanki wjechały w podwórze. Aleksander wyjął z kibitki owiniętą w futra dziewczynkę i poniósł ją do jurty. Jakób pośpieszył przymknąć za nim drzwi.

Rozebrali dziecko i postawili na ziemi. Tarła zaspane oczki rączkami i kaprysiła trochę. Aleksander z Jakutem wnosili przywiezione na saniach rzeczy.

— Nie płacz, panienko! - perswadował jej łagodnie Jakób.

— Nie jestem panienka!

— Ale herbatę pewnie lubisz i placek z masłem?... Zaraz dostaniesz, poczekaj!

Dziewczynka spojrzała na niego przez paluszki.

— Pan będzie towarzysze!

— Będę towarzysze! będę wuj Jakób!... Zgoda?

— Poczciwi ludzie?

— Najlepsi ludzie! Mądra jesteś, jak widzę! Siadaj-no do stołu, a ja tymczasem placek zagniotę. Jak ci na imię?...

— Zosia!...

Pospiesznie wdrapała się na wskazane miejsce i oparła łokcie na stole.

— Będziesz u tatki za mamę?... Czy może Jakutka jesteś? — dopytywała się, śledząc gospodarkę Jakóba.

Twarz mężczyzny powlokła się smutkiem.

— Niezupełnie... troszeczkę!

— A ja jestem zupełnie córeczka... Doprawdy — jestem!... Tatusiu, on nie wierzy, głową kiwa!...

Aleksander, który wniósł właśnie z Jakutem ostatnią skrzynię, spojrzał na nich zamglonym wzrokiem i stanął u komina chmurny, milczący. Rozmowa urwała się.

Uwagę Jakóba zajął całkowicie podpłomyk, który piekł się na żelaznym blacie. Od czasu do czasu spoglądał jednak ukradkiem na przyjaciela. Uderzyła go w nim wielka zmiana.

Śniada twarz porysowała się i zapadła, wąskie usta jeszcze się mocniej zacięły, podbródek naprzód wysunął, a duże ciemne oczy utraciły poprzednią żywość. Stał zgarbiony z rękami opuszczonemi wzdłuż ciała. Jakób nie śmiał ani go pocieszać, ani pytać, gdzie żona umarła, gdzie pochowana. Ten człowiek zawsze sam sobie wystarczał. Krępowała go przytem obecność przewodnika Jakuta.

— Co słychać w domu?... Cóż Jakuci?

— A nic. W czasie twojej nieobecności, nawet tu nie zachodzili. »Kapsie nie ma, herbaty nie daje!« Słyszałem tylko, że znów wypływa historja z Tatarami. Istne pantofle Abu-Kazema.

— Słyszałem i ja. Zasiedatiel przyjeżdżał?

— Nie, ale oczekują go... Czy masz zamiar pogadać z nimi?...

— Pójdę.

Jakób zamyślił się.

— Jakuci są bardzo wzburzeni... — odezwał się po chwili.

Aleksander wzruszył ramionami.

— Cóż ja temu winien!

Przewodnik skończył pić herbatę i czekał na obrachunek. Aleksander wymówił sobie, że mu przedtem pomoże załatwić kilka gospodarskich czynności. Miał zwieźć z jeziora lód na wodę, gdyż żałował konia, a czas już było lód tak umieścić, by nie stopniał na wiosennem słońcu. Wody ze śniegu lub z przerębli nikt tu nie używa do picia, gdyż cuchnie. Wziął więc Jakut swego wołu i sanie i spuścili się w wąwóz, gdzie leżały szeregi dużych kryształowych tafli, przygotowanych jeszcze z jesieni.

Zorza już gasła. Gwiazdy jarzące tłumnie wyległy na niebo. Przy blasku ich pracowali długo. Po odjeździe Jakuta, Aleksander dobrą jeszcze chwilę sam kręcił się po podwórzu: przesuwał, ustawiał, otrzepywał, śnieg zrzucał ze stogu, jasła czyścił dla konia. Jakób podejrzewał go, że umyślnie nie wraca, by uniknąć rozmowy, gdyż niejedno mógł zrobić jutro. Nareszcie wszedł znużony i okryty szronem.

— Tatusiu, spać!.. — płaczliwie zawołała Zosia.

— Chciałem ją rozebrać, — rzekł Jakób — ale niegrzeczna... nie dała się... Cóż, wszystko skończyłeś?

— Prawie wszystko.

Wziął córkę na ręce i zaczęli szeptać coś z sobą tajemniczo. Jakób zamknął czytaną przed chwilą książkę i w zamyśleniu patrzył w ogień. Aleksander znalazł się wkrótce obok niego. — Dziecko usnęło. Długo milczeli oba, nie wiedząc od czego zacząć. Wszystko wydawało im się tak błahe, a smutek jednego z nich tak ciężkim i nieuleczalnym.

— Nie smuć się! Czas wszystko złagodzi — szepnął nakoniec Jakób, kładąc rękę na ramieniu towarzysza.

Aleksander spuścił oczy, a wargi mu zadrżały.

— Tyś miał w życiu choć cokolwiek... Teraz masz córkę... Ja nic nie miałem.

— Daj pokój!

— Co zamierzasz robić?... Czy będziesz prosił, aby przenieśli cię bliżej miasta?

— Nie sądzę. Nie myślałem o tem... Plany zostały też same: gospodarstwo.... Co tu innego możebne?

Jakób spuścił głowę.

— Wątpię, czy dadzą ziemi..

— Wątpisz, czy tutaj dadzą, cóż więc mówić o okolicach podmiejskich...

— W pobliżu miasta więcej towarzyszy; łatwiej dostać co potrzeba, a teraz będzie ci znacznie więcej potrzeba.

— Rozumie się, byłoby lepiej. Ale co o tem marzyć!.. Nim przyjdzie odpowiedź na prośbę, minie miesięcy parę. Mogą odmówić... na pewno nawet odmówią... a ja tymczasem stracę rok cały. Wiosna za pasem — znowu nic nie zasieję. Przytem przeprowadzka związana jest zawsze ze stratą... Nie można zabrać wszystkich drobiazgów, na pozór nic nie znaczących, z których składa się gospodarstwo.. Zresztą, jeśli mam ci prawdę powiedzieć, to wolę tu zostać. Tutaj, dadzą ziemi więcej, jeśli się dać zgodzą. — Zbuduję młyn, zasiewać będę dużo i handlować mąką — na północ ją wysyłać. Konkurencji nie będę miał żadnej; wszyscy tu mielą zboże w ręcznych żarnach, sieją mało. Wszędzie ceny na mąkę wysokie; możnaby coś odłożyć na powrót.

— Więc ty myślisz tu tak długo pozostać? — z przerażeniem nieledwie zapytał Jakób.

— Kto wie?...

— Gospodarstwo może nic nie dać. Będziesz musiał trzymać robotników, starać się tanio kupić, drogo sprzedać i — mało płacić. — Nie lękasz-że się w tych warunkach ostatecznie zatracić... duszę?

— Co mi po niej?... A ty swojej nie zatracasz?...

Jakób chciał mówić, ale Aleksander przerwał mu żywo.

— Mój drogi, oddaliśmy, cośmy mieli. Reszta — nasze! Kruszyna tego zostało i... liche. Biorąc jałmużnę od Jakutów, czyż nie stawiamy siebie w fałszywych warunkach? Czyż nie gubimy tej samej duszy, o którą się troszczysz?

Jakób nie zgadzał się, lecz milczał. Wszak powtarzał ciągle w sporach, w rozmowach każdemu, kto chciał słuchać: żyć jak pies, czego sam przykład dawał, o nic nie prosić, żadnych szczególnych praw dla siebie nie czekać i... trwać, tylko trwać! Rozumiał, że było to nad siły większości, mocno już znękanej. Te kilka rubli zapomogi rządowej nie wystarczały na najskromniejsze potrzeby. Braki trzeba było głodem łatać, na co Aleksander obecnie w żadnym razie nie mógł się ryzykować. Pocóż więc spierać się i przykrość mu robić!

— Myślisz, że mi to już nie zbrzydło? — mówił dalej Aleksander. — Ilekroć dziesiętnik przywiezie te kawałki masła, mąki, mleka różnego gatunku, zebrane po odrobinie od większych może jeszcze, niźli ja, biedaków, czuję, jak gdybym został wypoliczkowany. Nigdy nie miałem odwagi sprawdzać, czy waga i gatunek odpowiadają obietnicom gromady. W rezultacie kniaziowie i dziesiętnicy okradali mnie i gminę, dawali mniej, niż zebrali i zamieniali lepsze rzeczy na gorsze. Nigdy nie wystarczało! I co kwartał wojna o rozmiary jałmużny, ten targ poniżający! — Że Jakuci starają się zmniejszać datki, to rzecz zupełnie zrozumiała. Takich jak my mają oni na karku setki, więc wcześniej, czy później skończyć się to dla nas musi, nie z filantropji bowiem karmią oni osiedleńców, lecz z obawy, ze zwyczaju. Gdy przekonają się, że im od nas nic nie grozi, odmówią. Czy nie mieliśmy już przykładów? Czy nie odmówili tobie domu?... A ma się skończyć, to — im wcześniej, tem lepiej!... Teraz mam jeszcze środki, mam siły... Aby wyjść z błędnego koła prawie zawsze użyć trzeba trochę przemocy... A raz to konieczne, to niema co rozważać, niema się co zastanawiać.. Ja chcę wrócić do życia, więc biorę ziemię. Niech się obrażają, później się przeproszą. Ja mam prawo do tego i — nie ustąpię. Mam zresztą córkę, taką dobrą, jak i inne dzieci — zakończył tonem stanowczym.

Jakób siedział ze spuszczoną głową. Czuł, że między nimi zaczął się wznosić mur, którego żadne nie mogły obalić dowodzenia, milczał więc i było mu przykro.

— Ognisko domowe!.. zawsze i wszędzie to samo... — rzekł sobie w duchu.

Nie rozmawiali dłużej i uścisnąwszy sobie dłonie poszli spać.

(C. d. n.).

O kwestji tak zwanej „kobiecej"
ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Z drugiej strony, nie każde zmieszanie cech uważać można za zwyrodnienie, a znowu nie każde zwyrodnienie za zmieszanie cech. [1]) Celibat zwyradnia np. naturę ludzką, wytwarza bowiem egoistów o ciasnych poglądach społecznych, ale ci ostatni wszakże nie są wyrazem zmieszania cech. Następnie takiej osobistości np. jak Goethe'go, która powstała, według słów własnych poety [2]), z połączenia cech du-

[1]) Wenn der Mann entartet, legt sich das durch weibliche Bestrebungen an den Tag; entartet die Frau, so offenbart sich das durch ein männliches Verhalten. Der entartete Mann ist weibisch; die entartete Frau ist ein Mannweib — nicht immer, durchaus nicht immer; wohl aber ist immer ein Mannweib ein entartetes Weib. Die es kennzeichnenden Eigenschaften sind seine stigmata degenerationis. Die Mannweiber können ihre Vorzüge haben, durch Kraft, durch Geist, durch Witz, durch Lebensklugheit, durch Ausdauer und Geschick sich auszeichnen; aber Weiber, aechte Weiber sind sie nicht. Und aehnlich, nur umgekehrt, liegt es bei weibischen Männern. Sie können voller Tugenden d. h. gesellschaftlicher, bürgerlicher Tugenden sein, dienstbeflissen, gehorsam und gottesfürchtig, Wohlthäter in ihren Kreisen, fördernde Lehrer, heilbringende Priester, adelnde Künstler und Gelehrte; allein Männer, wirkliche Männer sind sie nicht. Dazu fehlt ihnen nichts weniger als die erste, die Haupttugend des Mannes, die Kraft. Sie bezitzen alle möglichen, bewunderten und gepriesenen Eigenschaften, blos nicht die römische Virtus (l. c. p. 246). »Alle sogenannten grossen Frauen waren entartete, gleichviel ob sie Hatschiput oder Semiramis, Elisabeth oder Katharina hiessen. Maria Theresia war auch eine grosse Frau; allein sie war es in einem anderen Sinne. Sie war es vornehmlich als Frau schlechtin, als Weib. Sie war eine zärtlich liebevolle Gattin, eine zärtlich liebevolle Mutter und erst darauf hin die ganze grosse, hoch und weit ragende Landesmutter«. (l. c p. 291). Tem powiedzeniem ostatniem świadczy przeciwko sobie sam autor, bo wykazuje, że można być kobietą, a zarazem i wielkim człowiekiem, również dobrze posiadać można cnotę rzymską i być genjalnym mężczyzną; jedno drugiemu nie przeszkadza wcale, chodzi tylko o umiejętne kojarzenie właściwości dodatniej natury.

[2]) Vom Vater hab ich die Statur,
Des Lebens ernstes Führen,
Von Mütterchen die Frohnatur
Und Lust zum Fabuliren.
Uhrahnherr war der Schönsten hold,
Das spukt so hin und wieder,
Uhrahnfrau liebte Schmuck und Gold,
Das zuckt wohl durch die Glieder.

chowych kobiecych z cechami męskiemi, zwyrodniałą przecie nazwać nie można; natomiast osobistość księcia żelaznego, złożona z cech duchowych, wyłącznie przynależnych naturze męskiej, zwyrodniałą być nigdy nie przestanie, pomimo wszelkich starań wielbicieli jego o podniesienie tej natury do wyżyn ideału ludzkiego.

Harmonijne, proporcjonalne połączenie przymiotów obu płci w jedną, pełną wdzięku całość w indywidualności kobiecej i męskiej, stanowić powinno najpiękniejszy ideał człowieczeństwa. Dysharmonja, nieproporcjonalność lub brak całej połowy zalet ludzkich, psychicznych w organizmie człowieka, staje się wyrazem ułomności albo potworności moralnej.

Egoizm jest główną cechą istoty duchowej mężczyzny,[1]) Altruizm przeciwnie, stanowi główną cechę istoty kobiecej. Na tych odmiennej natury podłożach wytwarzają się różnice psychiczne drugo i trzeciorzędne. Atoli poza sferą duchowych czynności, związanych mniej lub więcej ściśle z czynnościami płciowemi i troską o potomstwo — sfera wyższych funkcji psychicznych jest wspólną dla mężczyzn i kobiet. Na wyżynach ducha ludzkiego — płci niema.

Mieszańce o cechach płciowych drugorzędnych są daleko częstszemi zjawiskami, niż to napozór zdawać by się mogło, to też przywykliśmy do nich, one już nikogo nie rażą, i gdy metysy narodowościowe w intelekcie u których płynąć mają obok siebie w najlepszej jakoby zgodzie dwie strugi, o całe niebo od siebie różne — budzą w nas zwykle wstręt, obrzydzenie i pogardę, bo instynktownie czujemy w nich obłudę wyższego stopnia, to w mieszańcach płciowych, różnolicowość ich istoty psychofizycznej, pozostaje dla nas prawie obojętną, jako zjawisko czysto naturalne, co najwięcej powiadamy o nich np., że mają charakter przez pół męski, albo na wpół kobiecy, i konstatujemy ich obecność w społeczeństwie, na każdym kroku.

Istota osobowości płciowej, psychofizycznej człowieka nigdy dotąd należycie ani pojmowaną, ani ocenianą nie była, przywykliśmy ją uważać za coś jednolitego, od razu uformowanego, i traktowano ją z tego powodu szablonowo, sądząc, że skoro mamy do czynienia z osobą, której znamiona pierwszorzędne każą ją zaliczać do płci żeńskiej, np., więc już przez to samo, z konieczności, posiadać ona musi i cechy drugo i trzeciorzędne, które uważamy za właściwe dla płci rzeczonej; a wszakże tak być nie może, osobistość człowieka jest skomplikowaną indywidualnością, i ze względu na budowę kolonjalną, i dziedziczne właściwości, i krzyżowanie cech w potomstwie. Ażeby się przekonać, chociażby pobieżnie tylko, o bezzasadności poglądu, że organizm płci męskiej lub żeńskiej ma jednolity charakter, dosyć przejrzeć starannie kolekcję czaszek męskich i żeńskich, lub szkielety rąk i nóg, należące do płci obu, a przekonamy się, że w wielu wypadkach nie jesteśmy w stanie wyróżnić, które z nich należą do osobników męskich, a które do żeńskich. Otóż jeżeli nawet po tych cechach, mających pierwszorzędne znaczenie, po cechach, za pomocą których płciowość indywiduów zwykle najwyraźniej uwydatnić się powinna, nie możemy w wielu wypadkach z całą stanowczością wyróżnić płci osobników, to cóż mówić mamy o mniej charakterystycznych, a tem samem bardziej niepochwytnych cechach cielesnych, zaś przedewszystkiem o znamionach psychicznych, intelektualnych! O tych ostatnich możemy dzisiaj powiedzieć tyle tylko, że nie wiele wiemy o nich, bo nie jesteśmy w stanie orzec np., jakie z tych cech uznać mamy za kobiece, a jakie za męskie. Dowolność nasza na polu rzeczonem jest tak wielka, jak wielką nasza niewiadomość.[2]) Na poparcie tego zdania przytoczę parę przykładów następujących.

Sind nun die Elemente nicht
Aus dem Complex zu trennen,
Was ist denn aus dem ganzen Wicht
Original zu nennen?

W tych 12 wierszach genjalnego myśliciela poety mieści się cały pogląd głęboki na niezmiernie skomplikowany ustrój każdej osobistości ludzkiej, którą wszakże tak powszechnie uważają za coś jednolitego, jak gdyby była z jednego kruszcu odlana, wtedy kiedy ona jest amalgumatem wielce złożonej natury i to tak dobrze ze względu na dziedziczne właściwości, przekazywane przez całe szeregi przodków, jak i ze względu na kolonjalną swoją budowę organiczną.

[1]) Nawet Max Wolff nie śmie tej prawdzie zaprzeczyć, jakkolwiek uwija ją mocno w bawełnę, gdy powiada: »Mężczyznę cechuje bądź co bądź p e w n e s a m o l u b s t w o, ślady tego samolubstwa można odkryć nawet u najszlachetniejszego mężczyzny, kobieta przeciwnie jest zawsze podatną do poświęcenia, które czasami, i t o n a w e t d o s y ć c z ę s t o, posuwa się aż do zaofiarowania swojego »ja«. (l. c. p. 46).

[2]) »Niema takiej kategorji pojęć umysłowych i wykształcenia, której kobieta nie zdołałaby posiąść«. (Max Wolf l. c. p. 45). Wszystkie tedy właściwości psychiczne ludzkie mogą być właściwościami kobiecej inteligencji, „*Homo sum, et nihil humanum a me alienum puto*“, powiedzieć może o sobie tak dobrze mężczyzna, jak i kobieta, ta ostatnia jest człowiekiem i nic z tego, co jest ludzkiem, obcem jej inteligencji być nie może.

(C. d. n.)

Fryderyk Smetana.

Jego życie, dzieła i znaczenie.

(Ciąg dalszy).

Zawód spotkał go zaraz na wstępie. Miejsca kapelmistrza przy teatrze tzw. tymczasowym w Pradze nie otrzymał, rzucił się więc do Niemiec i Żuław. Podróż tę artystyczną, pełną chwały, zakończył wielkim koncertem orkiestralnym, który urządził w Pradze 5 stycznia 1862 r. Koncertęm tym zdobył sobie stanowisko dominujące w praskim świecie artystycznym. Koło artystyczne (Umielecka beseda) i »Hlahol« wyrywały go sobie, a *Narodni listy* zaprosiły na sprawozdawcę muzycznego. Ze swej strony otwarł Smetana z Ferd. Hellerem szkołę muzyczną, która wnet zyskała sobie rozgłos ogromny.

Zaraz po powrocie do ojczyzny począł Smetana pracować nad operą, którą przeznaczyl dla sceny praskiej. Już w kwietniu 1863 r. partytura »Brandenburczyków w Czechach« była gotową, ale dopiero w trzy lata potem ujrzała światło kinkietów. Tymczasem napisał też drugą operę »Sprzedaną narzeczoną«. Powodzenie obu oper w roku 1866., w którym je przedstawiono w krótkim przeciągu czasu (5. stycznia i 30. maja), było olbrzymiem. Trjumf był tak wspaniałym, że gdy po wojnie zmieniła się dyrekcja teatru czeskiego, Smetanę zaproszono na kapelmistrza. Przyjął to miejsce i rozpoczął swą czynność w jesieni 1866 r., by ją przedwcześnie ukończyć po latach ośmiu. A była to czynność płodna w owoce. Pod batutą znakomitego znawcy muzyki i sprawiedliwego sędzi dzieł obcych przejęli się jego zapałem wszyscy śpiewacy i podnieśli odrazu scenę narodową na wyżyny sztuki A pracować musieli niemało, skoro w tak krótkim czasie wprowadził Smetana trzydzieści trzy oper na scenę. Między nimi zaś były dzieła takie, jak Glucka »Ifigenja w Aulidzie«, Mozarta »Porwanie z seraju«, Beethovena »Fideljo«, Spohra »Jessonda«, Gounoda »Faust« i »Romeo i Julja« — a więc style najróżnorodniejsze. Przedewszystkiem jednak zwracał uwagę na dzieła mistrzów słowiańskich. A więc zapoznał Czechów z »Halką« Moniuszki, »Ruslanem« Glinki. operami czeskiemi Bendla, Rozkosznego, Fibicha — no i własnemi. Te ostatnie stanowiły istne perły w repertuarze sceny praskiej, a w życiu jego odegrały ważną acz smutną rolę. Mianowicie »Dalibor« (1868) i »Dwie wdowy« (1874) wywołały burzę przeciw kompozytorowi naszemu. Stronnicza, a szowinistyczna krytyka »Listów muzycznych« (Hudebni listy) poczęła mu wymyślać jako »germanizatorowi muzyki czeskiej« z powodu, że się przychylił do zasad reformatorskich Wagnera. Potrzeba znać stosunki ówczesne, aby zrozumieć, co taki sąd znaczył. Potrzeba też znać wrażliwość kompozytora, żyjącego ideałami tylko, aby zrozumieć, jak szkodliwie napaści te oddziałały na jego system nerwowy. W r. 1874 choroba nerwowa przeszła w straszne halucynacje słuchu i pewnej nocy ogłuchł mistrz zupełnie. Było to porażenie nerwów słuchu, początek rozkładu, który trwał całych lat dziesięć, nie zdoławszy ochromić ducha, owszem wyłudzając mu coraz doskonalsze twory.

Okres od roku 1874 to rozkwit twórczości Smetany, rozkwit tym donioślejszy, że pracy umysłu i wyobraźni nie wspierał słuch. Naturalnie działalność publiczna ustała. Cofnął się Smetana w zacisze domowe do Jabkenic, gdzie zięć jego był nadleśniczym. Tam począwszy od wspaniałej symfonji »Szarki« skomponował szereg najwspanialszych dzieł. który dobiega ćwierci setki. Między niemi znajdują się, aż cztery opery: »Pocałunek« (1876), »Tajemnica« 1878), »Czartowa skała« (1882) i niedokończona »Viola« (1883—4). A ta moc kwartetów i symfonji, które płynęły z duszy nieszczęsnego mistrza!

Ale zbliżała się katastrofa nieodwrotna. Zanim nastąpiła, poprzedził ją przecudny zachód słońca. W r. 1880 obchodzono jubileusz półwiekowy pierwszego publicznego wystąpienia Smetany. Na koncercie jubileuszowym w Pradze odegrał wtedy głuchy mistrz »Nokturn« (op. 9 nr. 3) swego ulubionego Chopina i dwie polki własnej kompozycji. W dwa lata potem cały naród składał mu hołd z powodu setnego przedstawienia »Sprzedanej narzeczonej« (5. maja 1882). Jeszcze w listopadzie 1883 r. był Smetana obecnym przy otwarciu Narodnego diwadla, w Pradze. Ponownie i to już nieprzytomnym ujrzał stolicę roku następnego, gdy go wierny druh J. Srb (jako pisarz znany pod pseudonimem Debrnowa) odwiózł do szpitala obłąkanych. Halucynacje i sny straszliwe przyprawiły go o utratę zmysłów. Na szczęście los okrutny zlitował się przynajmniej w chwili ostatniej nad męczennikiem i zesłał mu śmierć wybawicielkę 12. maja 1884 roku. W trzy dni potem odprowadzał naród zwłoki swego największego genjusza muzycznego na cmentarz wyszehradzki, gdzie obecnie spocząć ma w grobie zasłużonych, w tzw. Slawinie. Ciało oddano ziemi, duch żyje w dziełach. A te dzieła? Przyjrzyjmy się im.

II.

Zanim poraz pierwszy na litografji dwu marszów gwardji narodowej w r. 1848 pojawiło się nazwisko kompozytora nieznanego, zaległo w jego skrzyni mnóstwo prac, ćwiczeń i utworów. O ile ich nie umieścił Smetana w spisie swych kompozycji, lub nie ogłosili z rękopisów pośmiertnych czciciele mistrza, nie wiemy o nich zresztą nic szczegółowego. Ogólny sąd o nich, wydany przez samego twórcę, nie brzmi wprawdzie pochlebnie, skoro je odsądza od prawa do poznania czernidła drukarskiego, jednak mało kto

był tak surowym ojcem dla swoich dzieci duchowych, jak Smetana. To też przypuszczać należy, że i między tymi kopciuszkami muzy Smetany, których dr. Teige naliczył blisko pół setki, niejedna się kryje perełka. W każdym razie niejeden z tych utworów zapomnianych musi być pazurem przyszłego lwa muzyki czeskiej. Charakter ich przeważnie taneczny, między tańcami zaś góruje polka, której królem godzi się nazwać Smetanę tak, jak zwiemy Straussa królem walców. Formę polki umiłował mistrz czeski do tego stopnia, że długo jeszcze w latach dojrzałych przyoblekał w nią swe pomysły muzyczne,*) a w operach swych wyznaczył im poczesne miejsce. Komponował zaś początkowe utwory swe na fortepjan, któremu sprzeniewierzać się zaczął już wcześnie, ale z którym zerwał na dobre dopiero w r. 1863, gdy się zabrał do komponowania opery. Polki Smetany i drobniejsze utwory fortepjanowe poznała Praga wcześnie i one uczyniły młodego kompozytora, zresztą lubiącego wesołe towarzystwo i tany, popularnym w szerokich kołach. Ale już w r. 1849 dowiódł on, że siły jego sprostają i większym zadaniom, a myśl jego snuje też większe plany. Wystąpił mianowicie na pewnym koncercie z pierwszą swą uwerturą D-dur (op. 4) pisaną dla wielkiej orkiestry, którą dyrygował słynny kompozytor narodowego hymnu czeskiego, Fr. Szkroup. Ten sam kapelmistrz wykonał w r 1855 ze swą kapelą »Symfonję trjumfalną« E—dur, przeznaczoną przez Smetanę na uroczystość zaślubin ces. Franciszka Józefa, ale nieprzyjętą przez mistrza dworu. Hymn austrjacki stanowi motyw przewodni tej symfonji, pomyślanej podług starej formy i nieco rozwlekle wykonanej, ale w każdym razie godnej uwagi. »Motyw przewodni«! Czyż nie wskazuje to, że Smetana mimo całej romantyki swych pierwszych kompozycji, którą mu delikatnie zarzucała Klara Schumannowa, wielka jego czcicielka, a do której przyznawał się sam mistrz w latach późniejszych, lgnął sercem do kierunku, nowego, którego przedstawicielami najgłośniejszymi mieli się stać Ryszard Wagner i Franciszek Liszt. Sympatji swych dla tych pionierów muzyki nowoczesnej dowiódł Smetana w inny jeszcze sposób. Oto uwerturę do »Tannhäusera« wagnerowskiego przerobił na 4 fortepiany (16 rąk), a przeróbka ta tak w Pradze (1855), jak i w dalekiej Szwecji miała wielkie powodzenie. Lisztowi zaś poświęcił w r. 1848 »Sześć utworów charakterystycznych«, które też jako op. 1. ujrzały światło dzienne w oficynie Kistnera w Lipsku (1851). Nakładcę tego zyskał Smetanie sam Liszt, zachwycony kompozycjami młodego Czecha, którego nie znał przedtem wcale.

*) Prw. opus. 7. Trois Polkas de Salon i op. 8. Trois Polkas poëtiques (1855), op. 12 i 13 Souvenir de Bohême en forme de Polkas (1863). Czeskie tańce I. (1879).

Gdy więc Smetana w Pradze zdobył sobie już imię zdolnego kompozytora orkiestralnego, zagranica zapoznawała się dopiero z jego utworami fortepjanowymi. I widocznie podzielała choć w części zdanie Liszta, który oświadczył Smetanie listownie, że jego kompozycje »należą rzeczywiście do najznakomitszych, pięknie odczutych i wykonanych, jakie miał w ręku ostatniemi czasy (1848)« — albowiem zaraz ukazał się zeszyt trzeci kompozycji Smetany pn *Stambuchblätter* nakładem wymienionej firmy lipskiej. Dlaczego dwa dalsze pozostały w tece, niewiadomo. W każdym razie i one zasłużyły sobie na uznanie Liszta, który całą kartę »warjantów« do nich napisał, a z kolei kompozytorowi czeskiemu otworzył łamy swego zbiorku *Das Pianoforte*, gdzie ukazały się »Trzy kompozycje charakterystyczne« Smetany (op. 3).

(Dok. nast.). *Dr. Franciszek Krcek.*

Demokratyzacja sztuki.

I.

Teatr ludowy we Francji.

Nie zawsze tylko dekadentyzm, dowcip i kankan uprawia teatr francuski. Od pewnego czasu daje się tu zauważyć ruch odnowienia moralnego, zapoczątkowany niewątpliwie przez wpływ literatur północnych, lecz mający już dziś swój własny francuski wyraz i własne francuskie zastosowania. Jednem z ciekawszych, lub mówiąc mniej bezdusznie, dzielniejszych zastosowań tego ruchu jest próba stworzenia teatru ludowego. Teatr popularny miała Francja oddawna. Teatr popularny przedmieść Paryża i miast prowincjonalnych jest to wyaranżowana hołota teatralna stolicy, grywająca wyaranżowane z repertuaru sztuki. O »popularności« takiego teatru stanowią nizkie ceny i płaskie koncepta, a publiczność jego rekrutuje się po trosze we wszystkich warstwach mniej lub więcej zepsutej ludności miejskiej i podmiejskiej. Względy konkurencyjne, wpływające na obniżanie cen, wpływają również na obniżanie poziomu moralnego repertuaru. Sztuka w tych warunkach staje się bądź melodramatem, gdzie bohaterowie chodzą po kolana we krwi, bądź farsą, gdzie bohaterki prześcigają się w sztuce unoszenia sukien powyżej kolan, chociaż we krwi nie chodzą... Sygnał »nowości« dają teatry bulwarów paryskich, które znowu rywalizują z nocnemi kawiarniami lub wprost z domami rozpusty. Oczywiście nie o tym rodzaju popularności chcę

mówić: podobno w tym kierunku aż nadto oświecają nas mecenasi od przeflancowywania farsy francuskiej na grunt komedji narodowej...

Chcę mówić o teatrze ludowym, którego próbę, uwieńczoną olbrzymiem powodzeniem, dał nie Paryż, lecz mała mieścina Bassang, zatracona, gdzieś u stóp Wogezów. Nie przeszkadza to jednak, że inicjatywa znalazła echo w całej Francji i że twórca pierwszego teatru ludowego staje się dziś osobą wcale głośną. Jest nim niejaki Maurycy Pottecher, autor początkujący, mieszkaniec i od niedawna apostoł zatraconej mieściny. Pottecher opowiada, że od ław szkolnych, był gorliwym wyznawcą poglądów na teatr ludowy Michelet'a. Poglądy te dość zasadniczo różnią się od teatru »popularnego«. — »Co to jest teatr?« — pyta Michelet — »Teatr jest abdykacją naszej gorszej, powszedniejszej, bardziej egoistycznej istoty na rzecz istoty lepszej, idealniejszej, którą odtwarzamy. Ach, jakże bardzo teatr taki jest nam potrzebny. Potrzebny nam jest teatr prosty a silny, według pojęć ludowych, teatr taki, gdzie potęga twórcza serca, gdzie młoda wyobraźnia ludzi świeżych pozwoli wreszcie scenie wyrzec się owych strojów i dekoracji zbytkownych, bez których kroku dziś nie robi nasza sztuka zblazowana. Ludowi pokażcie jego własną legendę, jego własne czyny. Lud — ludem wykarmić należy«.

W tych słowach streszcza się cały program działania wraz z tendencją moralną. Młody Pottecher zamierzył poświęcić całe swe życie dla wcielenia programu swego mistrza. Kiedy dramaty Ibsena, Strinberga, Hauptmana przy pomocy twórców T e a t r u w o l n e g o rewolucjonizowały scenę paryzką, przeznaczoną dla samych tylko »arystokratów ducha«, — Pottecher postanowił taką samą rewolucję przeprowadzić na deskach teatru popularnego. I znowu, mimo iż f o r m u ł a teatru ludowego wypowiedzianą została oddawna przez znakomitego historyka francuzkiego, jej z a s t o s o w a n i e ż y c i o w e znalazł Pottecher w literaturze północnej. Za model posłużyły młodemu autorowi ludowe sztuki Tołstoja, przetłumaczone, jak zresztą wszystko, czem się szczyci literatura rosyjska, na język francuzki. Utwory te, znane dziś całemu światu, noszą tytuł: P o t ę g a m r o k u i J a k d j a b e ł z a p r a c o w a ł n a s w ó j k a w a ł e k c h l e b a. Bogata w prawdę i głębokie a proste wzruszenia dramatyczna sztuka Tołstoja opanowała Pottechera. Tem bardziej, że Tołstoj, jakby ziszczając marzenia Michelet'a, »lud karmi ludem«, a nie unika, lecz owszem opiera akcję swych sztuk na »legendzie i czynach ludu«.

Tematy Tołstoja — pijaństwo — w jednej i ciemnota — w drugiej sztuce — są o wiele mniej rosyjskie, niżby się zdawało. Alkoholizm jest we Francji palącą kwestją dnia, ciemnoty zaś nie rozjaśni tak rychło elementarz, a nawet kilkanaście tysięcy odczytów popularnych, rzuconych w tłum czterdziesto-miljonowy. Pottecher więc zapożyczył nie tylko technikę, ale i same tematy Tołstoja. W ten sposób powstały dwie pierwsze sztuki teatru ludowego Francji współczesnej: D j a b e ł, h a n d l a r z p o d a g r y i M o r t e v i l l e. Treść pierwszej jest następująca:

Z poza Wogezów przychodzi do kraju »kusy djabeł niemiecki« (jak dla nas rzecz pomyślana) i w postaci handlarza wódki rozpoczyna swą działalność w wiosce alzackiej, tj. zakłada szynki. Sekunduje mu w tem zamożny, a chciwy chłop Hardonin.

Hardonin jest w dramacie nieruchomą osią akcji. Syn Hardonina, Cyryl, rozpija się po niejakim czasie wskutek propagandy kusego. Wówczas rozpoczynają się w rodzinie gorszące sceny między ojcem a synem. Żona Cyryla — słodka i poświęcająca się Marjanna — napróżno stara się go powściągnąć: Cyryl podnosi rękę na ojca — ojciec go przeklina. Wówczas wreszcie Marjannie udaje się uprowadzić Cyryla z wioski. Idą oboje do Paryża, gdzie przez kilkanaście lat ciężkiej pracy i opieki Marjanny Cyryl się oczyszcza i powraca do domu uleczony. Ale twardy Hardonin nie daje się przebłagać i drwi z pokuty, która Cyryla uczyniła zamożnym. Marjanna, dobry duch, której celem jest pogodzenie syna z ojcem, namawia go do rozdania dobytku biednym. Cyryl osiada teraz jako biedny powroźnik w wiosce sąsiedniej. Znowu jednak stary Hardonin drwi z pokuty, uważając, że bieda nie jest ciężka z taką kobietą, jak Marjanna. Marjanna więc obmyśla ostatnie poświęcenie: ażeby pogodzić syna z ojcem nie widzi innej rady, jak tylko usunąć się dobrowolnie. I rzeczywiście — po jej śmierci stary wreszcie synowi przebacza..... Druga sztuka, M o r t e v i l l e (nazwa miejscowości) wątek czerpie z legendy o szwedzkich górnikach, którzy w wieku XVII., mieli nauczyć górnictwa mieszkańców Wogezów. W sztuce rzecz się przedstawia inaczej.

(Dok. nast.). *Antoni Polocki.*

Wiadomości bibljograficzne.

Junosza Klemens Na bruku. Powieść z życia wiejskiego, Warszawa 1897. Str. 185.

Pr. Imitowane łacińshwa. (Odbitka z Dziennika pozn.) Poznań 1896. Str. 13.

— Na św. Żmudzi (Odb. z Dziennika pozn.) Tamże 1896. Str. 20.

— Z dyecezji mińskiej: Parafja Swojatycze — Darewo (Odb. z Dziennika pozn.) Tamże, 1896. Str 8

Smoleński Wład. Ostatni rok sejmu wielkiego. Kraków, 1896. Str. 481 i 1 nieliczb.

Z drukarni Z. Gollob**a** we Lwowie.